

Polowanie na niedźwiedzia.

Krótki, niewprawnie redagowany, telegram donosił o znalezionym legowisku niedźwiedzia. W jednej chwili byłem gotów do drogi, a na drugi dzień niósł pociąg mnie i mego starszego brata przez Dynaburg i Rzeżycę do małej stacyjki, położonej wśród dużych lasów północnej Smoleńszczyzny. Spotkał nas na kolei miejscowy osacznik, rosły chłop zakutany w futro, w uszatej czapce ze skórki bielaka, w olbrzymich walonkach.

Oczywiście, że pierwsze było sprawozdanie o otropionym niedźwiedziu. Znaleziono go przypadkowo. Był to tak zwany „szatun“, czyli niedźwiedź płoszony parokrotnie z legowiska, który więcej tego roku nie zapadał w sen zimowy, a włóczył się i tylko po dobrej uczcie czasowo zalegał, by niebawem znów powstać i szukać żeru.

W danym wypadku w swej ostatniej wędrowce napadł losia, zadarł go i zjadł, a po tak obfitym i smacznym obiedzie, położył się o kilkadziesiąt kroków od szczątków ofiary. Na ślady tego leśnego dramatu natrafił osacznik i obszedł niedźwiedzia w „krugu“, czyli kole, mającem 2500 kroków w obwodzie.

Wspaniała sanna, para dobrze wybieganych koni, zaprzężonych w szydło, prędko przejechaliśmy kilkadziesiąt wiorst, dzielących stację od mieszkania naszego woźnicy.

Wschludnej chacie oczekiwała rosla, młoda dziewczyna, córka osacznika o typowo rosyjskich rysach. Nieodzowny samowar szumił na stole, zastawionym konfiturami i plastrami miodu. Nadzwyczajna uprzejmość cechowała naszych gospodarzy. To też, po długim „czajepitiu“ dopiero pomyśleliśmy o spoczynku.

O pierwszym świcie, w towarzystwie kilkunastu naganki, wyruszyliśmy do lasu. U brzegu rzeki Mierzy, stanowiącej dopływ Dźwiny, zatrzymały się sanie. Od legowiska dzieliło nas jeszcze kilka kilometrów, które ze względu na głębokie śniegi, trzeba było przejść na nartach. Polując niejednokrotnie w Rosji, nauczyliśmy się obaj posługiwać nartami z prawdziwą więc przyjemnością stanąłem na nich, ciesząc się z urozmaicenia, które wносиło zastosowanie tego miłego, zimowego sportu.

Przez olbrzymia mszarę, niewątpliwie miejsce pięknych, wiosenych toków głuszcowych, posuwał się nasz orszak w kierunku widniejącego w dali, wysokiego lasu. Przeczucia mnie nie myliły, liczne ślady i jamki w śniegu na naszej drodze, stanowiły oczywisty dowód obecności wielkiej liczby królewskich ptaków. Około południa dotarliśmy do ścian starego boru. Legowisko było już niedaleko. W celu zbadania miejscowości oraz obrania stanowisk, obeziliśmy ostep naokoło.

W dwóch punktach ślady osacznika przecinały tropy niedźwiedzia. W jednym zwierz wszedł do ostępu, a w drugim dał klucza. Oczywiście, że stanęliśmy na tych śladach, ia na wchodowym, a brat mój na kluczu. Dalej naokoło ustawiliśmy łuczków, polecając im krzyżeć, lecz nie schodzić z miejsca. By ruszyć niedźwiedzia, miał wejść osacznik do ostępu z przeciwległej strony.

Zupełna cisza panowała w głuchym lesie, żadnego ruchu, najmniejszego śladu życia. W chłodnym uścisku zimw spał las skuty mrozem, spowity głębokim, śnieżnym całunem.

Ostatni raz skontrolowałem broń i zamarłem w oczekiwaniu. Zaledwie przebrzmiał strzał osacznika i rozległy się głosy naganki, gdy ujrzałem o półtora kroków przed sobą wstającego z barłogu niedźwiedzia. Nie odrazu jednak zwierz ruszył — czas jakiś obracając duży, ko-

smaty łeb, wsłuchiwał się w głosy ludzkie najwyraźniej, układając plan ucieczki. Dał trzy susy w stronę mego brata i znów stanął, pomyślał chwilę i zawrócił wprost na moje stanowisko. Trzymając zwierza na muszce, dopuszczałem go bliżej. Niedźwiedź szedł lekkim galopem i już w następnym susie zamierzałem posłać mu kulę, gdy stanął, uniósł głowę i znów uważnie słuchał. Dzielila nas przestrzeń około dwudziestu kroków, ale uniemożliwiała strzał gruba osika, zakrywająca komore i część głowy zwierza. Cudny był zaśłuchany, czarny niedźwiedź na tle iskrzącego się śniegu, oświetlony skośnym promieniem zimowego słońca. Ruszył... Jeden sus, a w następnym przemówił mój sztucer, gładko położył się włos na zwierzu, przychmyliły się uszy i z głośnym mamrotaniem, śród którego wyraźnie rozróżniało się sylabę „me-me“, zwrócił się w moją stronę. Widząc, że szarżuje, by go drugą kulą w miejscu powstrzymać, dopuszczałem jeszcze bliżej. Przedzierała nas duża kłoda, która, by dojść do mnie, musiał niedźwiedź przeskoczyć, a na to już zbrakło mu siły i gdy uniósł przednie łapy, opierając je na zwałonem drzewie, w odśloniętu w ten moment pierś ugodziła śmiertelną kulą, zachwiał się, opuścił głowę i runął martwy.

Zwierz był duży i wyjątkowo piękny. Pokrywał go czarny włos o srebrzystym połysku na szyi i grzywie. Uwiązawszy to moje trofeum do długiego drągu i obejrzawszy leżące w pobliżu szczątki zjedzonego losia, miejsce śmiertelnych zapasów dwóch potentatów puszczy, a widomy znak surowych praw przyrody, opuściliśmy dziewiczy ostep.

Pożegnawszy naszych gościnnych gospodarzy, by zdażyć na pośpieszny pociąg, wyjechaliśmy wieczorem. Niebawem powstała zadymka, śnieg zaczął padać ogromnymi płatkami i wkrótce zamiótł drogi. Zapytany woźnica, czy jest pewny kierunku, najwidoczniej zdradzał obawę zabłądzenia; nakazywała więc ostrożność zatrzymać się i przenoćować.

Dowiedziawszy się, iż w pobliżu jest klasztor Ordynek, który ma nawet gościnne pokoje i chętnie przychodzi podróżnym z pomocą, poleciliśmy konie skierować do jego murów. Niedługo stanęliśmy u szerokich wrót w wysokiej, kamiennej ścianie, nad którymi widniał wielki, czarny, prawosławny krzyż. Woźnica nasz pociągnął za druciany dzwonek, a po chwili usłyszeliśmy skrzypienie śniegu pod nogami odźwiernego i jego gruby, tubalny głos. Długo musieliśmy się legitymować, kto jesteśmy, skąd i dokąd jedziemy. W końcu skrzypnęły w zardzewiałych zawiasach masywne wrota i olbrzymiego wzrostu mnich, z czarna brodą do pasa, stanął przed nami. Wjechaliśmy do obszernego podwórka. Ulokowawszy w dużym składzie sanie wraz z niedźwiedziem, na widok którego zbiegła się liczna brać, przeprowadzeni przez mnichów, znaleźliśmy się w izbach, przeznaczonych dla podróżnych. Usługiwał nam starzec z długą, śnieżnobiłą brodą.

Najwidoczniej klasztor dobrze był zaopatrzony w spożywcze produkty i w różne smakołyki. Dano nam na kolację doskonałe, wędzone ryby, marynowane grzyby, plastry miodu i do nieodzownej herbaty kilka gatunków konfitur; nie było tylko w klasztorze wódki. Żaden z zakonników, pomimo naszych zapraszań, nie przyjął udziału w przekąsce, ani zechciał wypić kieliszka naszej starki. Pożegnawszy nas uprzejmie, udali się na spoczynek, pozostawiając do usług owego starca z siwą brodą. Gdy i ten odszedł, zamykając za sobą masywne drzwi i usłyszeliśmy zasuwanie rygła za drugimi drzwiami od długiego korytarza, pomimo woli ogarnęło nas uczucie zupełnego odcięcia od świata i zdania się na łaskę i nie-

łaskę tajemniczych mnichów. Zrobiło się nam niewyraźnie i zaczęliśmy żałować, żeśmy tu zajęchali. Brat mój nawet na wszelki wypadek obejrzał rewolwer i radził mnie mój trzymać blisko siebie. Oczywiście, że były to płonne i niczem nieuzasadnione obawy, wywołane jeno niezwykłym dla nas otoczeniem, działającym na nerwy i psychikę.

O czwartej godzinie zrana obudził nas dzwon, zwołujący mnichów na modlitwę, a wkrótce zjawił

się i nasz białobrody i zaczął sprzątać. O świcie pożegnaliśmy braciszków, którzy ku wielkiemu naszemu zdziwieniu nie przyjęli od nas zapłaty za nocleg, ani za poczęstunek i wogóle, niczego nie żądając, życzyli nam szczęśliwej drogi. Ujęci tą niezwykłą gościnnością i tem więcej zażenowani naszymi brzydkimi podejrzeniami, zostawiliśmy hojną ofiarę na biednych, odjechaliśmy na kolej.

B. Świętorzecki.